Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena pojedyńczego numeru 30 gr.

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA — DWUTYGODNIK

N 15 R 3

POD LUPĄ

Przesycenie jednych, niedosycenie drugich.

Mieczysław Nałęcz-Dobrowolski w artykule p. t. „Moloch Mikrofonu“ (ANTENA z 20.X. 35) zwraca uwagę na przesycenie słuchacza radjem. Słabnącą uwagę słuchacza mikrofon dopinguje coraz nowemi efektami—ale ostatecznie musi gdzieś być kres uwagi. Waga zagadnienia wystąpi z całą jaskrawością wtedy, gdy uświadomi się choćby fakt, że radjo daje słuchaczowi rocznie 3.000 godzin samej muzyki. W radjo — konkluduje Dobrowolski— powstaje niebezpieczeństwo „nadspożycia“ niemniej dlań groźne, niż dla życia gospodarczego—dzisiejsze niebezpieczeństwo „nadprodukcji“.

I tu się gwałtem nasuwa refeksja: radjo ma służyć przedewszystkiem wsi i małemu miasteczku, t. j. ośrodkom odciętym od wielkiego miasta. Ośrodki te najbardziej radja potrzebują, a niebezpieczeństwo „nadspożycia” dla nich nie istnieje, gdyż tryb życia, ręczna praca— wszystko to jest czynnikiem regulującym.

Refleksja powyższa nasuwa drugą refleksję: jak mało dziś wieś może radja słuchać. Jak mówi ostatnie sprawozdanie radjowe na 418.000 radjoabonentów w Polsce, na wieś przypada tylko 47.000. Cóż to za stosunek! Dwie są tego przyczyny: 1. ekonomiczna. Aparaty są zbyt drogie, zwłaszcza aparaty lampowe, gdyż wieś ma tendencję słuchania radja wspólnie i ze względów oszczędnościowych i towarzyskich; zresztą detektor nie wszędzie jest dobrze słyszany. Fabryki aparatów lampowych produkują wyłącznie na zysk, a to utrudnia produkcję taniego odbiornika, przeznaczonego dla szerokich mas. Byłoby dobrze, gdyby radjo zmajstrowało jakiś „lampowy detefon“. 2. Przyczyna techniczna: nasz wieśniak nie umie aparatu sobie założyć, nie zna go, trochę się boi. Dużo tu może zrobić nauczyciel, ale nie wszystko. I znowu apel do Polskiego Radja: czy nie dałoby się (we własnym Radja interesie) zorganizować odpowiednie kolumny techniczne, któreby docierały do wsi i tam propogowały i zakładały radjo. W oparciu o nauczycialstwo możnaby tu zrobić b. wiele.

Kongres i zero.

Jak wiemy odbył się ongiś w Warszawie Kongres Pisarzy Katolickich. Miała to być wspaniała demonstracja, odbyło się w secesyjnej sali miejskiej uroczyste posiedzenie, wiele mówiono z trybun, wiele otrzymano życzeń i wiele gratulacyj. Potem dzienniki obszernie o Kongresie pisały, a potem... — potem nic!

Takie wielkie demonstracje, które wiele obiecują, a nic nie robią, są tylko szkodliwe. Kongres dowiódł, że pisarzy katolickich, którzyby naprawdę chcieli pracować po katolicku, tak jak niema. Pracy organizacyjnej jest moc, a co przez te lata naprawdę się zrobiło? Leżą nieprzepracowane zagadnienia teoretyczne (takie np. jak praca artystyczna, jej prawa i t. d. a etyka chrześcijańska), zagadnienie organizacyjne, wydawnicze i t. p. Niema pisma literackiego o ściśle katolickiem uniwersalnem nastawieniu (PROSTO Z MOSTU, pismo doskonale redagowane, ma pewne swoiste zacieśnienie ideowe, VERBUM jest na zbyt wysokim poziomie, by obsługiwać szerokie masy, PAX jest za szczupły i poniekąd zbyt obstrakcyjny i t. d.); niema żadnej koordynacji wysiłków. A tak ważne zagadnienia, jak stosunek literatury katolickiej do życia, do spraw społeczno-gospodarczych, do wielkich ruchów socjalnych, które dziś są tak ekspansywne... etc. etc. etc.

A teraz inna strona zagadnienia: wysiłek twórczy na polu literatury widać przedewszystkiem u pisarzy niekatolickich. Ale ci są „po tamtej stronie barykady“, „winno się ich unikać, jak ognia“. W rezultacie literatura katolicka w Polsce (pomijając jej najwybitniejszych przedstawicieli — tak nielicznych) grzęźnie po uszy w młodopolszczyźnie, w naiwnej tendencji, w fałszywym patosie, jest ckliwa, nudna, pozbawiona wybitniejszych walorów artystycznych. A to jest przecie—bądź cobądź—sztuka.

Mamy obecnie do zanotowania bardzo pocieszający objaw: duchowieństwo poszczególnych diecezyj w zrozumieniu roli literatury opodatkowuje się po parę złotych miesięcznie na popieranie literatury katolickiej. Piękny ten ruch wymaga jednak koordynacji i organizacji, gdyż przy dzisiejszym stanie naszej literatury katolickiej trzeba uważać, by nie wydawać miernot tylko dlatego, że są pieniądze.

Związek Pisarzy Katolickich musi przejawić jakąś widoczną działalność. Cóż się z nim dzieje dotychczas...?

Ubronzawiane kompleksy.

Mickiewicz jest postacią naogół znaną. Czytamy go, czasem nawet cenimy, z niezmierną ciekawością śledzimy jego proces odbronzowania, być może już zakończony; ponadto (z małemi wyjątkami) jest on z pośród naszych wieszczów najbardziej (na swój zresztą sposób) zrozumiały. „Pan Tadeusz“, „Farys“, Sonety Krymskie...“ tak przynajmniej sądzimy. A jednak nikt z nas nie spodziewa się, co się ukrywa pod osłoną niewinnych napozór przenośni i pięknych słów. Czy pomyśleliśmy kiedy, że „Sonety“, jako powstałe równocześnie niemal z „Konradem Wallenrodem“ są właściwie tylko jego warjacją, trochę symbolicznem przedstawieniem idei „Konrada“? Posłuchajmy komentarzy Daniela Toporskiego, człowieka skądinąd o zdrowym rozsądku. Np.: (Stepy Akermańskie). „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu (zjawisk ziemskich). Wóz (mego życia) nurza się w zieloność (wiosennych marzeń nadziei), i jak łódka brodzi“. Albo (III s.). „Szum (żywota) większy, (gdy) gęściej morskie snują się straszydła (zjawiska). Wtedy kierownik okrętu) majtek wbiegł na drabinę (społeczną i woła): gotujcie się dzieci. Wbiegł, rozciągnął się w niewidzialnej (ideałów) sieci“. Lub: (IV s.). „Wicher (nemezys dziejowej) z tryumfem zawył...“ lub takie bolszewickie zdanie: (S.V) „czy diwy (złe duchy) z ć w i e r c i l ą d u dźwignęli te mury, aby gwiazd (ideałów) nie puszczać ze Wschodu“. (S. VII). „Rozchodzą się Azamidów (świątyń narodowych) pobożni mieszkańce. Odgłos izanu — (echo nawoływania ludu cicho przenika serce i) w cichym gubi się wieczorze; zawstydziły się licem rubinowem zorze (wieczorne, blaskami wiary nadziei i miłości“...) i t. d.

Takiej przyjemności mamy 2 bite tomy. Sonety, Farys, Dziady i t.d., wszystko to ulega tej drobiazgowej analizie. Toporski napisał to w 1895 r. Od jego czasów mało co się zmieniło w literaturze na lepsze. Tylko, że w r. 1895 szukało się w „rubinowej zorzy“ wiary, nadziei i miłości, dziś szuka się dowcipnie ukrytych kompleksów seksualnych. Człowiek we wszystkiem dojrzy to, co dojrzeć zechce. W związku z tem rodzi się podejrzenie, czy doszukiwanie się w każdej „róży duchownej“ ukrytych urazów psychicznych nie dowodzi wielkiego urazu dzisiejszej generacji odbronzawiających literatów i chciwych tego czytelników.

Miejmy nadzieję, że może za następne lat 40 z takąż drwinką będzie się cytowało wiele książek dzisiejszych, jak my dziś cytujemy Toporskiego. Tylko że lepsze są stokroć „urazy“ takiego Toporskiego, niż takiego Żeleńskiego.

Obaj zresztą pracują w bronzie.

Konie myślą, ludzie nie.

Na korytarzach jednego z naszych uniwersytetów wabi studentów afisz z takim wierszykiem:

Koń od nas ma wszak większą głowę,
na niego zrzuć więc troski swe
niech myśli. — Ty ze swą połową
na DANCING skieruj kroki swe.

Jakie to śliczne — prawda? I co za poziom humoru, co za lekkość stylu, jaka śmiałość inwencji poetyckiej!

A gdy przyszła elita narodu bawi się po staropolsku na dancingach, konie coraz niżej zwieszają swe olbrzymie łby pod naporem czarnych myśli, któremi je tak okrutnie obarczyli ludzie.

W NUMERZE:

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA
DWUTYGODNIK

WILNO - POZNAŃ - KRAKÓW - LWÓW - WARSZAWA
ROK III — Nr. 15 15 PAŹDZIERNIKA 1935

JAN FRANKOWSKI

PRZECIW NEOTOMISTYCZNYM UPOJENIOM

Żyjemy w epoce rewizji poglądów na cały szereg spraw. To, co jeszcze wczoraj uważano za wsteczne, ciemne i niewarte wogóle dyskusji, — to dziś nabiera rumieńca świeżości, staje się nawet modnem. Uwaga ta dotyczy w pierwszym rzędzie Średniowiecza. W szkole średniej na lekcji historji, a nawet religji przyzwyczailiśmy się charakteryzować średniowiecze jako epokę wojen krzyżowych i rynek z przekupkami, dyskutującemi nad tem, ilu aniołów czy djabłów może się zmieścić na końcu szpilki. Pośród tych strzępów informacyjnych umieszczono w cieniu Św. Tomasza z Akwinu. Dziś Św. Tomasz wybił się na czoło zainteresowań współczesnych kierunków filozoficznych, zabrali się nagwałt do jego studjowania także przeróżni myśliciele społeczni. Objaw ten w samej swej istocie jest bardzo pożądany i miły. Cóż bowiem może być w nauce katolickiej bardziej pociągającego, jak filozoficzne jej sformułowanie w ujęciu Św. Tomasza. Rośnie więc z dnia na dzień t. zw. ruch neotomistyczny. U nas w Polsce jest już cały szereg ludzi, którzy zajęli się jego propagowaniem. W naszych polskich stosunkach jest to o tyle ważne i doniosłe, że katolicyzm oparty na uczuciu i tradycji otrzymuje silne podpory filozoficzne w konstrukcjach myślowych Św. Tomasza. Dlaczego więc ten tytuł artykułu?—zapyta niejeden z Czytelników po przeczytaniu tego, co się wyżej napisało?

Tomizm jest ogólnie sformułowaną nauką aktualną dla wszystkich czasów i dla każdych warunków. Jest to jakby jedna wielka encyklika, obowiązująca wszystkich katolików bez względu na czas i przestrzeń. Z drugiej strony nie możemy przemilczeć faktu, że ta nauka w tych punktach, w których chciała się oderwać od abstraktu i przejść do rzeczywistości, — opierała się na stosunkach średniowiecznych, które były inne niż obecne i napewno się już nie powtórzą. Chodzi mi tu o ujęcie zagadnienia ustroju społecznego według koncepcji średniowiecznych. Tomizm uwolniony od konkretów zaczerpniętych ze średniowiecznych stosunków jest nauką, która wszystko już odkryła nawet i to, co jeszcze przez nas nie zostało odkryte — i dla każdego pokolenia będzie wiecznie żywą kanwą twórczości, jeśli oczywiście dane pokolenie będzie o tej twórczości myślało. U nas ruch neotomistyczny ma oblicze komentatorskie. Ot poprostu tłumaczy się dosłownie z łaciny na język polski Św. Tomasza i ogłasza się to wszystko jako wielkie rewelacje. Jest to zwyczajna łatwizna i nic więcej. Ma to jedynie tę dobrą stronę, że zapoznaje szerszy ogół ze Św. Tomaszem. Czy jest to praca twórcza, śmiem w to poważnie wątpić. Z drugiej strony lektura Św. Tomasza ma również i swoje ujemne strony. Dla tomisty każde zagadnienienie wydaje się szalenie proste i dziwi on się wielce, że są ludzie, którzy wogóle się biedzą nad pewnemi problemami. Tomista w swych szufladkach napełnionych terminologją i dystynkcjami Św. Tomasza, nie czuje wogóle potrzeby zastanawiania się nad aktualnemi sprawami. Przecież na każde pytanie ma gotową formułkę, którą wyciągnie sprytnie ze swej szufladki. Mów z nim, że w Polsce czeka na rozwiązanie problem ukraiński, mów z nim o rozwiązaniu kwestji żydowskiej, mów z nim o rozwiązaniu przebudowy ustroju społecznego — a on ci z dumą obwieści, że to wszystko już Św. Tomasz rozwiązał, wystarczy tylko zastosować sprawiedliwość legalną, zamienną czy rozdzielczą. Dalsza dyskusja się wówczas urywa — dla tomisty są to przecież rzeczy tak jasne, że nie warto wogóle się nad niemi dłużej zastanawiać. Ponieważ do propagowania tomizmu zabrali się w Polsce ludzie bardzo wybitni i zdolni,—więc słuchające ich otoczenie łatwo ulega psychozie, że właściwie te wszystkie zagadnienia są rozwiązane. Jest to objaw ze wszechmiar wysoce szkodliwy. Każdy chyba przyzna, że cofanie na zegarze dziejowym wskazówek wstecz byłoby rzeczą zgubną. Nie można wartkiego prądu współczesnego życia wpychać w ciasne ramy ustrojowe średniowiecza, które dla Św. Tomasza wydawały się ideałem. Można jedynie przyjąć za podstawę te ogólne wytyczne, które zawarte są w nauce Św. Tomasza i na tej podstawie stworzyć ustrój przystosowany do lokalnych potrzeb. Dlatego też podkreślam mocno,— absolutnie żadne z palących

(Dokończenie na str. 2-giej)

ANATOL MIROWICZ

FRONT LITERATURY — FRONT JĘYKOZNAWSTWA

Literatura w roli służącej do wszystkiego.

Kwestja wzajemnego stosunku pomiędzy literaturą a językoznawstwem wciąż jeszcze nie przestaje zajmować umysłów, ostatnio prawdopodobnie w związku z projektami reformy studjów polonistycznych. Muszę jednak odrazu na wstępie zastrzec się, że tytuł tego artykułu jest raczej jego punktem orjentacyjnym, aniżeli tematem. Językoznawstwo ma przedewszystkiem związek ze ściśle określonym kierunkiem badań literackich, a mianowicie — estetycznym. Jeżeli zaś mówi się o estetycznem badaniu literatury, trzeba zgóry przewidzieć napaście, oskarżenia o sekciarstwo i t. p. Wyrobienie w sobie jednolitego rzeczowego stosunku do literatury z natury rzeczy nie jest sprawą tak łatwą. Przecież treść literatury (nie mam tu na myśli „treść" utworów) jest tak samo wszechpostaciowa i niewyczerpana, jak treść świata i życia samego. Nic przeto dziwnego, że, czegokolwiekby kto szukał w literaturze, zawsze to znajdzie. Często taki ktoś uważa, że właśnie i tylko to, czego on szuka, jest istotne i stąd sekciarstwo.

Najprościej byłoby powiedzieć, że oczywiście językoznawstwo, jak każda inna dziedzina wiedzy, znajdzie coś wspólnego z literaturą, nie wymaga to nawet żadnego specjalnego dowodu, bo przecież literatura posługuje się językiem, a czy ten związek warto badać, — no... to jest kwestja gustu, o którym non est disputandum. Wszystko, co można badać w życiu, można badać także w literaturze, ale stanowczo nie jest wskazane wyciąganie z literatury wniosków co do życia rzeczywistego, jak to niektórzy potrafią. Nie trzeba zapominać o tem, że świat rzeczywisty a świat literatury są zupełnie autonomiczne i niewspółmierne. Fenomeny świata literackiego nie mają innego bytu poza duchowym i dlatego nie są odpowiednikami fenomenów świata rzeczywistego. Rzeczywistość literacka nie jest rzeczywistością rzeczywistą. Dlatego wszelkie doktrynerstwo na podłożu i na podstawie literatury niema racji bytu. Przyrodnik, psycholog, a nawet historyk niedużo mają do szukania w literaturze, chyba że ograniczyliby swoje poszukiwania do literatury najściślej naturalistycznej, co do której nigdy znowuż niewiadomo, gdzie ona graniczy z realizmem poetyckim z jednej, a z impresjonizmem z drugiej strony. Lecz właśnie zadaleko posunięty naturalizm wykracza już poza szranki literatury. Więcej ma tu do powiedzenia filozof, jak długo zajmuje się filozofją, zawartą w dziele poetyckiem, nie zaś filozofowaniem dookoła niego; mojem zdaniem nie byłoby zbyt ryzykowne określenie literatury jako artystycznej postaci filozofji.

Dzisiaj poświęca się dużo uwagi socjologicznemu kierunkowi badań literackich. Kierunek socjologiczny traktuje literaturę, jak zresztą całą sztukę, nietylko jako wyraz, lecz także jako narzędzie walki klas, ale to już jest zaiste pożałowania godny snobizm. To wygląda przecież tak samo, jak gdyby ktoś na tej podstawie, że niektórzy czynią z religji narzędzie rozpusty, określał religję jako narzędzie rozpusty. Zresztą doskonałą ocenę tego kierunku dał J. Łobodowski w Nr. 2 „Dźwigarów". Przy okazji powtarzam za nim: „...o tem, czy dany utwór należy do sztuki, decydują wyłącznie względy estetyczne". Krytykując utwór z punktu widzenia estetyki, badamy jego „literackość", i w tym wypadku badamy rzeczywiście literaturę: oceniając ideo-

(Dokończenie na str. 6-ej).

„Hoc unum necessarium

Gdy mowa o roli pierwiastka fizycznego, zmysłowego w religijności katolickiej, trudno się ograniczyć do tych jedynie czynników, które mają na celu podtrzymanie i rozwijanie w duszach procesu uduchowienia i przebóstwienia całego ich życia subjektywnego, a pominąć milczeniem *rolę pierwiastka fizycznego*, zmysłowego, w tych czynnikach, które urzeczywistniają w duszach proces ich przebóstwienia objektywnego, przez łaskę dziecięctwa Bożego, t. j. w *Sakramentach św.*

Tutaj pierwiastek fizyczny, zmysłowy, w formie Sakramentów, który tak łatwo skontrolować możemy, daje nam gwarancję objektywnej pewności o dokonanym w nas procesie mistycznym, który jest nieuchwytny w żaden ludzki sposób. Właśnie przez pierwiastek fizyczny w formie Sakramentów św. wyrywa nas Bóg w swej nieskończonej dobroci z przekleństwa subjektywizmu, ciągłych niepewności, wątpliwości, niepokojów, obaw, udręk i maglów duchownych o wartość objektywną naszego stosunku do Boga. Większej gwarancji, niż ta, jaką nam dał przez wprowadzenie do Sakramentów św. pierwiastka fizycznego, zmysłowego, co do którego tak łatwo nam się upewnić, przez związania z nim procesów nadprzyrodzonych, nawet Bóg dać nam nie mógł. Za to więc powinniśmy być Bogu bardzo a bardzo wdzięczni.

Tymczasem i w tym wypadku niektórzy radziby, wybór pewien przeprowadzić, zostawić to co wygodne, a odrzucić to co bardzo przykre. Oczywiście najwięcej zastrzeżeń miewają ludziska co do Sakramentu Pokuty. Po co tu ten ludzki pośrednik między duszą a Bogiem? Dlaczego ten sakrament musi mieć koniecznie formę sądu, w którym sędzią widzialnym i słyszalnym jest człowiek-kapłan, a my musimy być i oskarżycielami samych siebie i świadkami przeciw samym sobie?

Odpowiedź na te pytania jest tasama co i przy innych Sakramentach św. „po to mianowicie, byśmy mieli pełną, objektywną gwarancję odpuszczenia naszych grzechów i przejścia ze stanu śmierci do życia w porządku nadprzyrodzonym. Sprawa najdonioślejsza dla człowieka! Gdyby on tu nie miał gwarancji objektywnej, popadłby z kretesem w przekleństwo subjektywizmu. Obecnie, gdy posiadamy tę objektywną gwarancję w postaci słyszalnego i jasno nam zapowiedzianego wyroku sędziego, w postaci rozgrzeszenia kapłańskiego, ileż to dusz jeszcze zadręcza się niepokojami sumienia: czy obrachunek z sumieniem był wystarczający, a czy kapłan należycie zrozumiał wyznany grzech...?... w nieskończoność! A gdyby tej objektywnej gwarancji zupełnie nie było, gdyby nam Bóg nie dał tego pośrednictwa ludzkiego, czyż wtedy dusza nasza byłaby spokojniejsza? A gdyby nam z temi udrękami w sprawie rozstrzygającej o całej wieczności przyszło odchodzić z tego świata?

Jest jeszcze inny wzgląd, dla którego właśnie Sakrament Pokuty ma formę sądu. Oto w tym jednym Sakramencie nietylko Bóg jest aktywny, ale domaga się aktywności również od nas. A aktywność ta w procesie usprawiedliwienia, odrodzenia z śmierci do życia w porządku nadprzyrodzonym dotyczy szeregu bardzo subtelnych procesów psychologicznych, dzięki którym człowiek wewnętrznie na tyle się dźwiga, odradza, iż dusza jego odzyskuje pojemność dla łaski dziecięctwa Bożego. O spełnieniu tych procesów niezawsze my zdolni jesteśmy osądzić sami, nierzadko potrzebujemy przy tem pomocy drugiego. Podziwiać nam więc tylko subtelność Serca Jezusowego względem nas w tym Sakramencie, a nie wierzgać krnąbrnie.

Wreszcie częsty fakt, który został ujęty w przysłowie: „nikt we własnych sprawach sędzią być nie może“, fakt naszej niezaradności i wahań w życiu duchownem. Mieć w takich chwilach serce prawdziwie bezinteresownie nam życzliwe, a nadto mieć gwarancję, że wszystko, co powierzymy mu tam u kratek, będzie tak jak wrzucone do studni bez dna, jak złożone w milczącym grobie, choćby to milczenie nawet życiem przypłacić przyszło, toć przecie skarb nad skarby!

Więc znowu podziwiać nam i uwielbiać Serce Jezusowe za Jego subtelność w Sakramencie Pokuty względem nas, a nie kręcić nam nosem na formę tegoż Sakramantu.

Tak więc czynnik fizyczny, zmysłowy, w Sakramentach św., które są dla nas źródłem całego naszego uczestnictwa w objektywnem przebóstwieniu człowieczeństwa Jezusowego przez unię hypostatyczną ze Słowem Przedwiecznem, jest dla nas skarbem nieocenionym, gdyż jest on dla nas gwarancją objektywną naszego najważniejszego stosunku do Boga.

Oczywiście, i tu również słabość ludzka może oddać przewagę formie zmysłowej nad mistyczną treścią. Dlatego też zrozumienie życia nadprzyrodzonego wogóle, a łaski dziecięctwa Bożego, jako podniesienia nas objektywnego na poziom Bożej Rodziny, czyli do porządku nadprzyrodzonego, należy wśród katolików szerzyć w sposób przystępny i zrozumiały. W przeciwnym bowiem razie, nie doceniając doniosłej treści Sakramentów św., tem bardziej odczuwać będą ciężar formy ich i będą od nich stronić, jako od bezdusznej formy. Ponieważ zaś w religijności katolickiej ten proces objektywnego przebóstwiania dusz ludzkich jest najistotniejszy i rozstrzyga zasadniczo o tem, czy religijność na nazwę katolickiej zasługuje, dlatego pod tym względem troska zarówno Kościoła nauczającego, jak i wiernych musi być najżywsza. To jest „hoc unum necessarium“, któremu należy podporządkować w religijności kat. wszystko inne, to jest ów skarb odkryty w roli, ta drogocenna perła, którą za cenę wszystkiego innego w religijności katolickiej utrzymywać trzeba na właściwym poziomie.

Arterje organizmu Kościoła

I jeszcze jedno. Gdy mowa o roli pierwiastka fizycznego, zmysłowego w religijności katolickiej, nie sposób pominąć milczeniem rolę, jaką w niej odgrywa *pierwiastek ludzki*.

Jak za życia swego historycznego Słowo Wcielone użyło swego człowieczeństwa dla dokonania dzieła Odkupienia rodzaju ludzkiego i do głoszenia całej swej Boskiej nauki zarówno ludzkiem swem słowem, jak ludzkim przykładem swego widzialnego życia, tak też i w swem działaniu przez wieki posługuje się ustawicznie człowieczeństwem, pierwiastkiem ludzkim, w szczególniejszy sposób ze Sobą związanym.

Oni to — kapłani — mocą szczególniejszego organicznego spojenia z pniem winnym człowieczeństwa Chrystusowego przez charakter sakramentu kapłaństwa— są temi słojami przez które soki żywotne tego pnia winnego dochodzą do naj-

SRRAWY ZAGRANICZNE

CZY WOJNA GROZI TYLKO EUROPIE?

Strach przed Japonją już na długo przed Wojną Europejską był dominującym czynnikiem australijskiej polityki i głównym powodem stworzenia zasady „White Australia“. W latach 1914—1918 prasa australijska martwiła się nietylko komunikatami z europejskiego i palestyńskiego teatru działań wojennych, ale przedewszystkiem poczynaniami państwa wschodzącego Słońca — gdzie zresztą znaczna część opinji publicznej była przeciwna wojnie.

Zdarzeniem kapitalnej wagi było opanowanie przez Japończyków posiadłości niemieckich na północ od równika, które poprzednio kapitulowały w Rabaul przed Australijskim korpusem Ekspedycyjnym. Osiedlenie się Japończyków na Pacyfiku zmniejszyło o połowę odległość pomiędzy lądem Australji a Nipponem.

* * *

Spontaniczny udział Australji i Nowej Zelandji w wojnie Europejskiej i gotowość zbrojnego poparcia Wielkiej Brytanji w incydencie Tchanak w 1922 roku ma niewątpliwie swe źródło w chęci zapewnienia sobie zbrojnej opieki potężnej metropolji, do czego ta ostatnia, wedle konstytucji Imperjum a raczej Rzeczypospolitej Narodów Brytyjskich (The British Commouwealth of Nations) prawnie nie jest obowiązana.

Traktat Wersalski oddający Japonji, jako mandatarjuszowi Ligi część niemieckiej Oceanji, przypieczętował tem jej faktyczne zdobycze i wywołał burzę protestów jak Australja długa i szeroka. Jeszcze większe wzburzenie wywołały usiłowania Japońskich dyplomatów zmierzające do włączenia do Paktu Ligi klauzuli o równości ras, zmierzającej wyraźnie przeciwko polityce „białej“ Australji i Stanów Zjednoczonych w sprawie japońskich osadników wzdłuż wybrzeży Pacyfiku.

* * *

Powodem, dla którego Japonja pragnie skierować nadmiar swego przyrostu naturalnego do Australji, jest z jednej strony olbrzymi australijski obszar i rzadkie stosunkowo zaludnienie, a z drugiej doskonałe przystosowanie się białej rasy do miejscowych warunków. Dążności jej w znacznej jednak mierze są oparte na nieporozumieniu. Tropikalne wybrzeże Australji rozciągające się na przestrzeni wielu tysięcy kilometrów odznacza się wielką różnorodnością ziemi i klimatu. Cechą charakterystyczną tych obszarów jest brak opadów i roślinności właściwej dla krajów podzwrotnikowych, również tylko nieznaczne części wybrzeża posiadają wysokość potrzebną dla złagodzenia gorącego klimatu.

mniejszej latorośli; oni też mocą swego organicznego związku z Chrystusem mają tę zdolność macierzyństwa w porządku nadprzyrodzonym, mogą dziczki zaszczepiać skutecznie na żywym pniu człowieczeństwa Chrystusowego; oni są temi arterjami, przez które te żywe latorośle ciągną soki ożywcze Krwi Jezusowej; oni — mocą swych węzłów z Jezusem sprowadzają Jezusa pod postacie sakramentalne i odpuszczają grzechy lub je zatrzymują; oni—wyłącznie oni—są arterją krwionośną mistycznego ciała Chrystusowego, jakiem jest Kościół św. „A niech nas każdy człowiek uważa za sługi Chrystusowe i szafarzy tajemnic Bożych"! (św. Paweł apostoł). Są oni jednak przedewszystkiem narzędziem, którem się Jezus posługuje w swej tak cudownie bogatej działalności przez wieki. Jezus posługuje się ich rękami, ustami, ich siłami fizycznemi i uzdolnieniami duchowemi w swem odradzaniu świata od wewnątrz.

I w tem jest Jezus najbardziej boski, że działalność Swoją uniezależnił od osobistej wartości moralnej narzędzi, któremi się posługuje. Od każdego z nich zażąda kiedyś sprawy z łask im tak hojnie danych, z szafarstwa swych tajemnic, ale to nie pomniejszy skuteczności Jego przez nich oddziaływania na dusze. I w tych narzędziach, jak we wszystkich innych duszach ludzkich boryka się Jezus z nędzą i słabością ludzką, niemniej jednak narzędzia te spełniają funkcję swoją w ręku Jezusa bez względu na to, czy są moralnie słabe czy silne.

W początkach niepodległego bytu Polski dzisiejszej Uniwersytet Jagielloński zorganizował cykl odczytów na temat: o podstawach duchowego odrodzenia narodu polskiego. Między innymi wygłosili swoje credo na ten temat dwaj profesorowie tegoż uniwersytetu: Ignacy Chrzanowski i Hugo-Robert Rostworowski. Obydwaj oni stanęli na gruncie chrześcijańskim. Ale gdy prof. Chrzanowski z najgłębszego przekonania zaklinał słuchaczy, by zaczęli żyć Chrystusem na wszystkich odcinkach swego życia, by Jego wizerunek zdjęli ze ścian i włożyli do serca i umysłu, by w prawdę Jego Ewangelji uwierzyli naprawdę, całkowicie i bez zastrzeżeń, — równocześnie pienił się i plwał najokropniej na „kościół urzędowy", na kościół hierarchiczny, wydobywając z historji każdą niemal jego słabostkę i śmiesznostkę. Natomiast dramaturg Rostworowski z rozbrajającą szczerością spowiadał się przed słuchaczami z tego, jak przez lat 15 żarliwie szukał prawdy wszędzie, we wszystkich wyznaniach, i jak ją znalazł w Kościele katolickim, właśnie hierarchicznym. Dlatego też zaklinał słuchaczy, by „wszelkie programy odrodzenia moralnego swego narodu opierali o ten kościół katolicki hierarchiczny, jaki za dni naszych istnieje, o ten episkopat i o to duchowieństwo, jakie obecnie mamy, choćby się spotkali u nich i z ograniczeniem umysłowem i z ciasnotą horyzontów i z słabością ludzką lub nawet nędzą moralną, bo tylko przez Kościół hierarchiczny Duch św. udziela się ludzkości".

Wnioski

Z rozważań powyższych wynika, że najważniejszą rolę odgrywa pierwiastek fizyczny, zmysłowy w religijności katolickiej przez to, że w niej dusza dociera do iChrystusa, łączy się z Nim organicznie i żyje Jego Krwią Najśw. nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem oficjalnych Jego narzędzi, kapłanów. To ludzkie ojcostwo duchowne należy w religijności katol. do najważniejszych jej kamieni węgielnych. Dlatego też troską duszy katolickiej być powinno, by ten pierwiastak fizyczny, ludzki, nie zasłonił jej żyjącego i działającego w Kościele Jezusa! Dla życia religijności katolickiej najdonioślejszą rolę odgrywa pierwiastek fizyczny, zmysłowy jako forma dogłębnych procesów objektywnego przebóstwienia duszy ludzkiej w Sakramentach św.. I tu również należy dbać o to, by gruntowna znajomość wiary w zakresie życia nadprzyrodzonego utrzymała element zmysłowy w tej roli, jaką ma on w Sakr. św. spełniać, roli objektywnej gwarancji, że te mistyczne procesy w duszy się dokonały. Najrozleglejszą rolę i to w najróżnorodniejszych odmianach spełnia czynnik fizyczny, zmysłowy, w tych wszystkich środkach, praktykach, które mają na celu utrzymać dążenia duszy katolickiej do świętości subjektywnej w odpowiedniem nasileniu i na odpowiednim poziomie. Tu swoboda w doborze czynnika zmysłowego jest prawie zupełnie zostawiona jednostce, gdyż nawet to minimum udziału w życiu zbiorowem religijnem, jakie nakłada swym członkom Kościół św., może każda jednostka spełnić w sposób, który jej więcej odpowiada. Dlatego też troskę o utrzymanie roli pierwiastka zmysłowego na odpowiednim poziomie winna u siebie roztoczyć każda dusza katolicka zosobna. Niemniej jednak kościół nauczający powinien wiernym w tem pomagać przez zdrowo postawiony ruch liturgiczny i wysunięcie spraw najistotniejszych, choćby kosztem obcięcia całego szeregu podrzędnych nabożeństw i dewocyj. W tym zakresie życia religijnego pierwiastek zmysłowy najłatwiej może wybujać i przytłumić sobą rzeczy najistotniejsze, bo życie wewnętrzne i pracę ducha. Dlatego też w tym zakresie czujność katolicka musi być wzmożona. Niech Słowo Wcielone nauczy nas zdrowo posługiwać się w naszej najwyższej twórczości duchowej, w naszem całem życiu religijnem, tem, co fizyczne, zmysłowe, a wtedy łatwiej nam będzie zdobyć szczyty uduchowienia i przebóstwienia.

Północno-zachodnie wybrzeża Zachodniej Australji są niezwykle gorące, mają bardzo małe opady, a w miesiącach zimowych panuje tam susza. Jednakże nieco wgłąb lądu leży płaskowzgórze Kimberley doskonale nadające się dla hodowli bydła. To samo można powiedzieć o Północnem Terytorjum, sąsiedniej prowincji a raczej Stanie i o płaskowzgórzu Barkly, dzielącem je od Queenslandu. Ten ostatni Stan, leżący dookoła zatoki Carpentaria, z wyjątkiem wschodniej części wyposażonej w dobrą ziemię i obfite opady atmosferyczne, ma również charakter hodowlany. Ogółem można powiedzieć, że północne, zwrotnikowe wybrzeże Australji może wyżywić stosunkowo niewielką ilość ludności szybko przystosowującej się do upalnego klimatu i nadaje się jedynie dla celów hodowli bydła, nawet owce bowiem nie wytrzymują tego klimatu. Małe opady i upały uniemożliwiają całkowicie rolnictwo na szerszą skalę.

* * *

Dlaczego więc Japończycy, którzy jak wiadomo, bardzo źle znoszą klimat, różniący się od rodzinnego — Formoza jest dla nich za gorąca, podobnie Filipiny, a znowuż Mandżurja za zimna — z uporem walczą o prawo wstępu do tej ziemi obiecanej. Winę ponosi federalny rząd Australji. W 1911 r. oddzielił on Północne Terytorjum od strony Australji Południowej i rozpoczął gwałtowną propagandę, przedstawiając je jako krainę mlekiem i miodem płynącą, obszar o nieograniczonych możliwościach Oczywiście chciano przyciągnąć białych osadników. Przyciągnięto żółtych, aczkolwiek Azjaci na przestrzeni wieków, pomimo iż często odwiedzali w morskich wędrówkach wybrzeża Queenslandu, żadnych trwałych osiedli tam nie założyli.

* * *

Kiedy rząd federalny zobaczył, że propaganda jego wywołała bardzo nieporządane dlań skutki, że na przynętę zamiast płotki złapał się rekin i omal nie wciągnął rybaka do wody, zaczęto wydawać drakońskie i obrażające dumę narodową Japonji ustawy, wszczęto alarm. Rezultat był bardzo przykry przedewszystkiem dla Wielkiej Brytanji. Pod presją dominjonów musiała ona bowiem wyrzec się sojuszu japońskiego tak bardzo pożądanego w szachowaniu wpływów rosyjskich na Dalekim Wschodzie.

Powikłania europejskie wzmogły panikę w Australji. Ostatni gigantyczny plan zbrojeń lotniczych w niczem nie ustępuje „dozbrojeniowym" poczynaniom III Rzeszy. Na Wielkiej Brytanji zaś poprostu wymuszono wysłanie na Daleki Wschód dodatkowej dywizji krążowników. Siły bowiem Królewskiej Australijskiej Marynarki i Nowo-Zelandzkiej Dywizji, floty Wielkiej Brytanji są bez porównania niższe od marynarki japońskiej. Jednocześnie ze sprawy bazy uzbrojonej w Singapore uczyniono, dość zresztą słusznie, sprawę kapitalnej doniosłości dla trwałości Imperjum Brytyjskiego, a synowie króla Jerzego V — widome symbole łączności imperjalnej, nigdy nie byli tak entuzjastycznie witani pod Krzyżem Południa jak właśnie teraz.

* * *

Przypuśćmy, iż pewnego dnia Kanał Suezki ulegnie zniszczeniu, a „gros" sił Królewskiej marynarki brytyjskiej będzie na Atlantyku i Morzu Śródziemnem, przypuśćmy dalej, że Wielka Brytanja będzie zaangażowana w poważny konflikt o doniosłości ogólno-europejskiej; przypuśćmy wreszcie, że pomiędzy Japonją a rządem Federacji Australijskiej dojdzie do ostrego zatargu na temat np. ubliżającego dla rasy żółtej brzmienia ustaw emigracyjnych. Po wszystkich tych przypuszczeniach zapamiętajmy, że stosunek floty bojowej Japonji do morskich sił zbrojnych obu dominjonów i nielicznych jednostek angielskich, pozostawionych w Houg-Kougry i Singapore, po ściągnięciu najsilniejszych okrętów na Maltę i do Portsmouth wyraża się w stosunku 12:1 tudzież, że Australję i wszystkie angielskie posiadłości na Dalekim Wschodzie zamieszkuje około 9 miljonów ludności, a Japonję z kolonjami zgórą 90 miljonów. Na zakończenie przypomnijmy sobie nieostrożną propagandę Federalnego Rządu Australijskiego i arcy-patrjotyczne zachwalanie terenów i zabawmy się w prorokowanie na temat „jak się rozwinie sytuacja?"

Yes.

PAWEŁ ŁEBCZ

KONKRET I WODA

Władysław Tarnawski w tomie swych doskonałych szkiców p. t. *Z Anglji współczesnej* pisze o konkretności i praktyczności wszelakich reformatorów społecznych—Anglików. I podaje taki przykład:

„Daniel Defoe, późniejszy autor *Robinsona Crusoe* ogłosił w 1697 r. ciekawą broszurę p. t. *Essay on Projects*, w której zawarł owoce swych doświadczeń życiowych i obserwacyj. Dziś, gdy cały szereg rzeczy, proponowanych przez niego istnieje, przeciera się ze zdumieniem oczy, czytając rzucane tu myśli. Oto krótki przegląd treści:

Defoe zaczyna od dziejów przedsięwzięć, które w prawdzie uważano za niewykonalne, a które jednak dzięki rozsądkowi i energji dały świetne wyniki. Zestawia stworzoną właśnie pocztę z wyprawą po srebro z zatopionego przed 40 laty okrętu hiszpańskiego. Potępia natomiast spekulacje gieldowe, mające w ćwierć wieku później, w sławnym krachu, znanym w historji pod nazwą *South Sea Bubble*, złowrogo wstrząsnąć życiem angielskiem.

Przechodząc do części pozytywnej, podaje pewne pomysły ulepszenia banków, poświęciwszy zaś nieco miejsca potrzebie budowy gęstej sieci bitych dróg, zajmuje się dłużej spółkami asekuracyjnemi — pierwsze powstały były właśnie, ubezpieczały od ognia i od katastrof okrętowych. Defoe poleca oparcie asekuracji na zasadzie wzajemności i rozszerzenie jej na nieszczęśliwe wypadki wszelkiego rodzaju, nie wyłączając gwałtownej śmierci. Podaje projekt kasy chorych. Stwierdza konieczność lepszej opieki nad obłąkanymi, a biorąc rzeczy praktycznie, doradza urządzenie na ten cel loterji państwowej i nałożenie niewielkiego podatku na książki. Doświadczywszy samemu srogości z jaką państwo w owych czasach postępowało z bankrutami, proponuje ustanowienie osobnego trybunału, któryby rozpatrywał ich winę. Rzuca następnie rys organizacji pewnych szkół wyższych, między innemi akademji wojskowej i akademji kobiecej. Żąda utworzenia specjalnego sądu handlowego, w którymby zasiadali zawodowcy, oraz urzędu pośrednictwa pracy dla marynarzy, któryby z niewielkich opłat, składanych przez pracodawców, dawał chwilowo pozbawionym miejsca połowę miesięcznej płacy.

W streszczeniu pominąłem parę drobniejszych rzeczy, a czytelnik łatwo osądzi, czy były fantastyczne. Defoe zaś przeważnie zaopatrzył je w najważniejsze szczegóły ustroju projektowanych instytucyj i podał gdzie niegdzie nawet kosztorysy".

— Oto zasadnicza różnica między Anglikiem i Polakiem. Ileż u nas wylało się atramentu na artykuły wołające o naprawę ustroju społeczno-gospodarczego. Ale jak mało ukazało się konkretnych projektów załatwienia codziennych choćby drobnych trudności i zgrzytów, z których urasta ogólna kakofonja gospodarcza. Mówimy wciąż ogólniki, lecz nie pracujemy nad konkretnemi bolączkami społecznemi i gospodarczemi. „Ostatecznie... od czego jest rząd?"

Oczywiście zastrzegam się, że nie przeciwstawiam się tezom, które w naszem pismie reprezentuje przedewszystkiem p. Winowska, że źródeł kryzysu społecznego musimy szukać w nas samych. (Z drugiej strony zapewne p. Winowska nie zaprzeczy wagi czynników technicznych i organizacyjnych?). Ale i w danym wypadku chodzi nie o ogólnik, lecz o konkret. Mało jest powiedzieć: „Nie kradnij", lecz trzeba wskazać, że niesprawiedliwy udział w dochodzie społecznym może być czasem kradzieżą. I tak dalej.

Steszczając: ogólne blagowanie, nawet z cyframi w ręku, nie wiele da pożytku. Jeśli chcemy coś osiągnąć, musimy konkretnie myśleć o szczegółach. Opinja publiczna musi wywrzeć nacisk na pyskaczy, żeby się zabrali do uczciwej pracy.

Tylko że ta polska opinja publiczna! — ależ ona się składa z samych pyskaczy i frazesowiczów.

Trzeba jej podstawić zamiast frazesów fałszywych, komunały, będące złotą prawdą.

Snobizm i postęp.

Tylko dziesiątki, setki i tysiące konkretnych projektów, rzeczowa nad niemi dyskusja i próby wprowadzenia ich w życie (o ile zdają się być słuszne) — to tylko umożliwi trwałą naprawę dzisiejszej sytuacji.

Fachowcy całej Polski, każdy na swoim odcinku musi stać się w swym zakresie autorem takich *Essay on Projects*.

ANATOL MIROWICZ

FRONT LITERATURY — FRONT JĘZYKOZNAWSTWA

(Dokończenie ze str. 1-ej)

logję zawartą w utworze, typy, sytuacje nie wynosimy tego wszystkiego poza ramy utworu, bo poza temi ramami one wcale nie istnieją. Powtarzam znowu za Łobodowskim: „— treść wyrażona przez chwyt artystyczny nie istnieje w tej samej postaci poza sztuką, ponieważ, stając się zjawiskiem estetycznem w szeregu innych elementów formalnych, zyskuje samodzielne i niepowtarzalne istnienie".

W naszem społeczeństwie powszechna jest skłonność do traktowania literatury jako swego rodzaju pretekstu, punktu wyjścia dla poruszania zagadnień aktualnych, bądź też „wiecznych", narodowych czy ogólnoludzkich, zpoczątku w formie polemiki z autorem, następnie w formie generalnej debaty, podczas której zupełnie zapomina się o tem, że była mowa o literaturze. Jest to eklektyzm w najbardziej wulgarnej postaci. Co innego, jeżeli się przeprowadza jakieś studjum porównawcze przez zestawienie poszczególnych utworów ze sobą, lub też tworów świata poetyckiego ze zjawiskami świata rzeczywistego z dowolnego, byleby w obrębie danego zestawienia zawsze tego samego, punktu widzenia. Takie studjum może być wolne od dyletanckiego eklektyzmu, ale czy jego przedmiotem będzie naprawdę literatura? — Chyba nie. Przedmiotem takiego studjum będzie właśnie każdorazowy punkt widzenia, literatura zaś tylko terenem badania, który dostarcza materjału empirycznego. Oczywiście takie badania należą też do zakresu wiedzy o literaturze [literaturoznawstwa? (Literaturwissenschaft)], ale istoty literatury one nie badają. Nie chcę przez to powiedzieć, że są niepotrzebne, stwierdzam tylko fakt, że, jeśli nawet zgodzić się z tem, iż literatura odgrywa w nich rolę autonomiczną, to w każdym razie rola ta nie jest ontonomiczna, jak być powinno. Dla takich badań językoznawstwo rzeczywiście na nic się nie przyda.

Dymisja filologji.

Jeszcze jedno zagadnienie, w stosunku do naszego tematu poboczne, nie da się tu pominąć— zagadnienie historji i teorji literatury. Dyscypliny te od wieków należały do zakresu filologji. Takie dyscypliny jak retoryka, stylistyka, a nawet metryka zawsze blisko łączyły się z gramatyką (typ gramatyki szkolnej), poetyka obok klasyfikacji utworów literackich zajmowała się także właściwemi im chwytami kompozycji artystycznej, a nawet chwytami stylistycznemi, historja literatury składała się z biografji pisarzy i rejestru dzieł, zaopatrzonego ewentualnie w krótkie uwagi. Podczas gdy dawniej poprzestawano na opisie i czysto rzeczowych komentarzach, dziś chcemy dotrzeć do istoty rzeczy. Pogłębienie badań spowodowało dobrze nam znaną specjalizację. Językoznawcy zajęli się gramatyką, nie wdając się w dociekania literackie, literatura stała się przedmiotem specjalnej nauki, o filologach zaś starego typu słyszałem zdanie zarówno z jednej, jak i z drugiej strony, że są dyletantami i blagierami, bo jednoczesne gruntowne opanowanie obu przedmiotów jest niemożliwe. Pomiędzy językoznawstwem a literaturoznawstwem wytworzyły się dzikie stosunki. Językoznawcy—według określenia Karola Vosslera—pozytywiści chcieliby całe zagadnienie języka zmieścić w gramatyce, literaturoznawcy (zarówno pozytywiści, jak idealiści) gotowi są zajmować się wszystkiem na świecie, byleby nie gramatyką. Mało tego— językoznawca pod żadnym pozorem nie powinien specjalistom od literatury „włazić w paradę". Co on, gramatyk, może wiedzieć naprzykład o stylu? A więc—wara! Językoznawca zaś powiada, że niema sposobu dogadać się z literatami, bo „estetyzują i bujają w obłokach". A przecież utwór literacki jest dziełem sztuki języka!

Historja literatury starego typu o tyle zachowała znaczenie, że wszyscy z niej korzystają jako z nauki pomocniczej. Teorja literatury szczególnie blisko obchodziła tych, którzy widzieli ścisły związek pomiędzy naturą języka a naturą poezji. Byli to ludzie, u których gruntowna znajomość formalnej strony języka łączyła się z filozoficznem jego pojmowaniem. Zresztą niewątpliwie stosunek prawie każdego najbardziej „suchego" gramatyka do języka jest filozoficzny,—takich, którzyby z formalistycznego badania ęzyka zrobili sobie wyłączny cel, nie znajdzie się dużo, albo i wcale. Do ludzi, którzy zdawali sobie sprawę z jedności językoznawstwa i wiedzy o literaturze należał między innymi znany filolog rosyjski Aleksander Potebnia (1835—1891), który poznał się na estetycznym charakterze języka i językowym charakterze twórczości poetyckiej. Nieco później reprezentuje ten pogląd znakomity romanista Karol Vossler (ur. 1872), który stworzył w Niemczech nowy kierunek filologji, ochrzczony nazwą „idealistische Neuphilologie". Vossler podkreśla rolę estetyki w języku wogóle, w języku poetyckim wszczególności, zamłodu z

pewną przesadą, zrozumiałą w atmosferze hołdowania poglądom Crocego.

W późniejszych swych pracach Vossler szeroko uzasadnia tezę, że zarówno językoznawstwo, potraktowane na szerokiej płaszczyźnie, nie obejdzie się bez estetyki, jak analiza estetyczna bez gramatyki. Zasadniczo to samo stanowisko zajmują formaliści rosyjscy, chociaż realizują powyższą zasadę, przynajmniej dotychczas, w jednym tylko kierunku. Wychodząc z tego założenia, że język poetycki z jednej strony składa się z tych samych elementów, co i język niepoetycki, z drugiej zaś strony posiada swój własny specyficzny charakter, badają oni jego cechy specyficzne, które czynią go właśnie poetyckim, czyli funkcje estetyczne elementów gramatycznych w poezji. Stąd cały podział przedmiotu i operowanie pojęciami mają charakter gramatyczny. Zgromadzone przez formalistów fakty wyraźnie świadczą o gramatycznej strukturze nawet najbardziej awangardowej poezji, jak to wywodzi znowuż Karol Vossler. Oczywiście badania formalistów, jak każda nauka opisowa, nie mają być celem same w sobie, lecz muszą być traktowane jako środek, ktory ma umożliwić ujęcie istoty literackości danego organizmu językowego. Vossler próbuje ująć całość zagadnienia. Prócz zaznaczania gramatycznej natury języka poetyckiego, podnosi on jeszcze estetyczną naturę języka wogóle. W przeciwieństwie do formalistów posługuje się on oderwanemi rozważaniami filozoficznemi bez oparcia o systematycznie nagromadzone materjały. (Dok. nast.).

Artykuł A. Mirowicza otrzymaliśmy w kwietniu b. r. pod nieco innym tytułem („Pokój czy wojna nauki o literaturze i językoznawstwa?“) Drukujemy go dopiero teraz ze względu na trudności techniczne (brak miejsca).

POD LUPĄ

„No, właźże ośle“!

Podajemy poniższy sensacyjny wypadek na podstawie i na odpowiedzialność Głosu nauczycielskiego (nr. 6 — 13.X. 35 r.):

„Do drzwi prywatnego gimnazjum nauczyciela w szkole (na Polesiu — przyp. nasz) o godz. 9-ej wieczór puka p. inspektor C. Gdy na kilkakrotne wezwanie „proszę“ nikt nie wchodzi, gospodarz myśląc, że ma do czynienia z żartem, woła „no, właźże ośle!“. Na to wezwanie we drzwiach ukazuje się inspektor i głosem podniesionym gromi obecnych dwóch nauczycieli, że nie umieją uszanować władzy. Zaczyna się inspekcja, jakiej świat nie widział. P. inspektor legitymuje obecną u nauczycieli jakąś panią, znajomą z sąsiedztwa, krzyczy, że urządzają kabaret, następnie idzie do kuchni, gdzie, świecąc sobie latarką, szuka po kątach wódki. Nic nie znalazłszy, zagniewany, każe obu nauczycielom złożyć podanie o zwolnienie. Zdawałoby się, że dalszym ciągiem tej historji powinien być energiczny sprzeciw, opór, nawet awantura. Tak powinno było się stać, lecz stało się inaczej. Z przykrością i wstydem stwierdzić należy, że obydwaj podania takie pod dyktandem złożyli“.

Być może, że są tu niektóre fakty przesadzone lub przekręcone. Ale jeśli są prawdziwe..?

Rekiny.

Sprawa abisyńska interesuje wszystkich. Naogół publiczność reaguje na nią bardzo zdrowo. Ale wstręt bierze, jak często prasa żeruje na tej kwestji, podając masę zmyślonych, fałszywych, dezorjentujących informacyj, często ad hoc ułożonych w gabinecie redaktorskim. Byle była sensacja i byle interes szedł.

RECENZJE

Start Edmunda Sulimy

Książka Nowakowskiego *) podzieliła w roku bieżącym, jak wiadomo, nagrodę miasta Krakowa z powieścią Gruszeckiej „Przygoda w nieznanym kraju“, o której pisaliśmy. Ogólnym charakterem obie książki ogromnie się różnią, stoją poprostu na dwu biegunach. Jeżeli krótka recenzja może dać pojęcie o charakterze książki, postaram się go odtworzyć.

„Start Edmunda Sulimy“—to historja dnia, a ściślej: jednej doby, przeżytej przez młodego aktora prowincjonalnego w mieście stołecznym, gdzie został wezwany dla zastąpienia chorego aktora w tytułowej roli „Orlątka“. Książka rozpoczyna się przybyciem Edmunda na lotnisko, poczem śledzimy przebieg jego przeżyć u fryzjera, na próbie a przedewszystkiem na wieczornem przedstawieniu teatralnem, które jest właściwym jego startem. Potem asystujemy przy kolacji w gronie artystów, w kabarecie i wracamy do hotelu, gdzie Edmund pozostaje aż do następnej próby przedpołudniowej. Przez cały czas nie rozstajemy się z Edmundem, chodzi tylko o jego przeżycia, innych ludzi widzimy tylko jego oczyma i interesujemy się nimi, o tyle, o ile włączeni są choćby chwilowo w zakres doznań Edmunda Sulimy. Właściwie mamy do czynienia z bardzo szczegółową analizą psychologiczną, jakkolwiek wskutek swoistej techniki, o której niżej, jest ona lekko zamaskowana, jakby przymglona. Pierwszorzędną rolę odgrywa tu styl: reportażowy, notujący w krótkich, urywanych zdaniach fakty fizyczne i psychiczne. Analiza zmierza tylko w kierunku zbadania wpływu faktów, reakcyj, sam człowiek — podmiot doznający, jest właściwie nieważny i pozbawiony wyraźnego oblicza.

Stosunek autora do bohatera i tematu pozostaje przez cały czas żartobliwy, co nadaje powieści lekki i miły ton. Podobnie żartobliwy stosunek stara się także autor narzucić czytelnikowi do samej techniki powieściowej. Chodzi mu o wytworzenie bliskiego kontaktu autora z czytelnikiem, z t. zw. „drogim czytelnikiem“ i „piękną czytelniczką“. Osiąga to autor przez ciągłe zwroty do czytelnika, przestrzegające go przed niewłaściwemi reakcjami, fikcyjne umawianie się z nim o punkt obserwacyjny („.. pójdziemy piechotą... Albo wiesz co, drogi czytelniku, pojedziemy dyliżansem...“ str. 23). Nowakowski stara się ciągle usprawiedliwić przed czytelnikiem ze wszystkich posunięć i sposobów kompozycyjnych, a przedewszystkiem z każdej dygresji i rozminięcia się z chronologją. Dzięki temu osiąga Nowakowski wielką bezpośredniość, cechującą zresztą wszystkie jego książki. Stanowi ona niezaprzeczalny urok jego powieści.

W technice kompozycyjnej trzyma się zasadniczo Nowakowski poprostu chronologji zdarzeń, zrzadka przerzucając się wstecz dla odtworzenia dotychczasowej karjery teatralnej Edmunda i umotywowania jego odczuć. Nowakowski uśmiecha się z bardzo wyrafinowanych sposobów technicznych, wykpiwa rekwizyty powieściowe—motywy tajemnicze np. w postaci czarnej damy z pieskiem. Założeniem jego jest największa prostota i bezpośredniość.

Irena Sławińska.

*) Z. Nowakowski: Start Edmunda Sulimy, Gebethner i Wolff, 1935.

Pawie Pióra

Książka Kruczkowskiego *) należy do coraz częstszych dziś powieści-reportaży. Jest to powieść dokumentarna, obrazująca stosunki wiejskie w Galicji przed samą wojną.

Oczywiście i tu spotykamy się z tradycyjnem przeciwstawieniem dworu i chaty. Koło dworu i plebanji skupia się całe stronnictwo „księżo-pańskie“, t. j. wszystkie żywioły drobne pilnujące swoich interesów a obojętne na dolę ludu. Stronnictwo to szafuje komunałami a pod płaszczykiem troski o dobro i zdrowie moralne ludu wyzyskuje chłopów. I tu krążą już demokratyczne frazesy („lud potęgą jest i basta“), bardzo chętnie przypomina się ludowi tradycje narodowe, ubiera się parobków na Trzeci Maj w krakowskie sukmany. Jest to zewnętrzna dekoracja, owe złudne „pawie pióra“ życia chłopskiego.

Ale obok tego ukazuje Kruczkowski prawdziwą rzeczywistość tego życia. Chłop galicyjski uzyskał wiele praw obywatelskich, został dopuszczony do reprezentacji w Stanach Krajowych, został „uświadomiony“ narodowo i społecznie. W gruncie rzeczy jednak nie zmieniło się nic: panuje na wsi nadal wyzysk i nędza. „Pełnia praw obywatelskich“ schlebiła próżności bogatszych właścicieli, zdołała ich pozyskać dla rządu, ale nie ulżyła doli najniżej w hierarchji wiejskiej położonych. Nadal najniższy urzędnik ma władzę nieograniczoną nad chłopem, nadal trwają nieszczęsne „Saksy“. Wyzyskuje teraz chłopa nie pan, ale rada gminna, złożona z arystokracji wiejskiej—najbogatszych.

Poznajemy dobrze na wsi najmłodszą generację, naprawdę społecznie uświadomioną, rwącą się do czynu—przyszłych strzelców i legjonistów. Jakże jaskrawo odbija ich realny stosunek do spraw społecznych od mrzonek współpracującego z nim w „Strzelcu“ studenta lub uczuciowego społecznikostwa panny Kazimiery! A panna Kazimiera Zbyszewska—to naprawdę problem t. zw. „elementów zdeklasowanych“, widząca jasno swoją społeczną bezdomność.

Reportaż referuje nam losy kilku rodzin z których każda reprezentuje jakąś płaszczyznę społeczną zamożniejszego włościaństwa (Karelusowie), ubogiego (Madejowie), ziemiaństwa (p. Zbyszewski) i t. p. Większą część książki zajmują dialogi; wszystkie prawie dotyczą spraw polityczno-społecznych: są reprezentatywne. Z tytułem i ideą powieści wiąże się najbardziej rozmowa dwóch podróżnych w wagonie na temat ideologji „Wesela“. Panowie komentują symbole utworu złoty róg i czapkę z piór.

Książka kończy się wybuchem wojny światowej i jeszcze jednem przeciwstawieniem błyszczącej, świetnej dekoracji oficerów na tle dworu szarym masom żołnierskim. Znowu pawie pióra rzeczywistości wojennej — i wojna prawdziwa.

Irena Sławińska.

*) *Leon Kruczkowski.* **Pawie Pióra.** Warszawa 1935.

MARJA WINOWSKA

ZAKON ŁADU

Istnieją słowa — sygnały, wyrażające dążenia danej epoki, danego pokolenia. Takim aktualnym dynamizmem pulsuje słowo: ład. W zamęcie współczesnym, który obejmuje nietylko świat i zewnętrzność ludzką, który sięga **duszy** człowieka, coraz silniej budzi się tęsknota do harmonji i pokoju, tego spocznienia w ładzie „tranquillitas ordinis", o którym mówi Św. Augustyn. Rozmiar klęski świadczy o rozmiarach choroby narastającej od lat. Ruch odśrodkowy, któremu przed trzema przeszło wiekami człowiek się poddał z łakomstwem konkwistadora i odkrywcy, zawiódł go dalej, niźli on chciał. Chwycony w nieubłagane pasy transmisyjne, nie umie już odnaleść własnej identyczności, stał się cząstką, kółkiem potwornego mechanizmu, który w pewnej chwili przestał funkcjonować sprawnie, popsuł się, zawiódł: gorzko trzeba było okupić prawdę, **że ład jest czemś organicznem, nie mechanicznem.** Pokusa decentralizacji pozbawiła człowieka miary, którą dawniej, instynktownie, odmierzał proporcje bytu. Zamiast budować makrokosm, na wzór własnego mikrokosmu, sam zaczął się upodabniać do mechanicznych formułek, zamknął tajemnice życia. Ład, ujarzmiony przez matematyczne recepty, przestał być ładem; dziwnym paradoksem, wiek największych postępów nauk ścisłych i techniki, stał się wiekiem największego rozkładu wszystkich wartości współczesnej epoki. W miarę, jak rosły pozory porządku i kodyfikacji stworzenia, człowiek, który z prawa i z powołania jest panem stworzenia, utracił nad niem władzę. **Ład** zastąpiły **statystyki**, organiczne prawo życia — ślepe mechanizmy. Rzecz znamienna: anarchja nie rozpoczęła się od zewnątrz — był czas, gdy człowiek nie widział granic postępu i własnych zwycięstw — ale w samej wykolejonej duszy ludzkiej Odtąd przebieg choroby był normalny; z zatrutego źródła, fale zataczały kręgi coraz szersze — to, pod czem dziś świat dygocze i trzeszczy w przyciesiach, jest skutkiem win nie materjalnej natury — nie rzeki płynące z zatrutego źródła są winne trucizny, ale same zatrute źródło. Aby uleczyć chory świat, człowiek musi wpierw uleczyć siebie. Aby móc przywrócić równowagę zewnętrzną, musi wpierw odnaleść własny punkt ciężkości, własne centrum, zgubioną, roztrwonioną, uwięzioną duszę. **Ład w świecie zależy najściślej od ładu w człowieku — nie naodwrót.**

Z takich przesłanek i sprawdzeń powstał na zachodzie ruch młodych, których —mimo rozmaitości kierunków i odcieni—łączy jedno: **szukanie zgubionej duszy, jako ośrodka ładu w sobie i w świecie.** Ten nawrót do walorów duchowych ma charakter nawskroś „utylitarny"; wyrasta z poczucia **odpowiedzialności** dzisiejszego pokolenia za to, co jest i za to, co będzie. Nie tyle **głód metafizyczny** wiedzie do szukania, ale świadomość płonącego domu, który zawalić się może lada chwila, jeżeli nie znajdzie się nikt, ktoby ratował. Postulat **ładu** — wybór metod doń wiodących — są wynikiem praktycznej i trzeźwej oceny sytuacji, tego co jest. Można patrzeć krytycznie na postawę tak mało bezinteresowną wobec zagadnień najistotniejszych — niemożna zaprzeczyć, że momenty czysto bezinteresowne nie przesądzały nigdy o ruchach grup i mas — homo religiosus i homo oeconomicus to nie dwie szufladki, otwierane ad libitum, ale jeden i ten sam człowiek **stworzony dla nieba i żyjący na ziemi,** nieznoszący rozczepienia Były epoki, w których ziemskie bytowanie nie stanowiło przeszkód dla pełnego rozwoju człowieka — epoki duchowego luksusu. Dziś jest czas, w którym od rozwiązania poziomych zagadnień codziennego istnienia, zależy prawo człowieka do własnego człowieczeństwa. Nie dziw, że w tych warunkach młodzi, którzy mają chwytny wzrok i nie bawią się w teorje, podchodzą do tego, co najbardziej palące, bezpośrednie, nagłe. Niepokój, który szerokiemi drgawkami przelatuje świat od końca do końca, — łuny na widnokręgach, powietrze nabrzmiałe twardemi pogróżkami tysięcy bezrobotnych, bezradność oficjalna, powolny i wyraźny rozkład dotychczasowych form istnienia, brak dotkliwy przewodników i wodzów — wszystko to każe młodym zabierać się do dzieła, na własną rękę, robić „porządek" wedle sił. Nie dlatego, że mają Weltschmertz, ale dlatego, że dom płonie. Postulat ładu jest tak głośny w świecie zewnętrznym, w warsztatach pracy, w biurach, w fabrykach, w szkołach, że wola naprawy nie wymaga legitymacji, tłumaczy się sama przez się: oryginalnością i siłą młodego pokolenia jest to, że przyczyn panującego chaosu szuka w swojem sercu współwinnem, że chce zacząć naprawę od siebie.

W różnych epokach różne bywają „itineraria mentis ad Deum"; różnemi drogami Bóg prowadzi marnotrawnych synów. Bezład rozpanoszony na świecie tak tragicznie okazał się potrzaskiem dla wielu: **na wielki bezład można odpowiedzieć tylko wielkim ładem; na beztroskę wobec istniejącego zła, podjęciem całkowitej zań odpowiedzialności.** Drogami, które często były dalekie od katolicyzmu, wielu i coraz więcej doń dochodzi: nie do katolicyzmu tradycji i sentymentu; ale do katolicyzmu krwi i życia; do religji **ładu.** Dostąpiwszy **scalenia wewnętrznego** — dla człowieka współczesnego, który choruje chronicznie na rozproszkowanie wewnętrzne, jest to jeden z największych cudów nawrócenia — młodzi reformatorzy własnych sumień mogą i mają prawo myśleć o porządkach zewnętrznych; co najważniejsze, **mają do nich klucz.** Współczesna literatura młodych na Zachodzie ma jeden wspólny akcent, podawany bardzo objektywnie, pod dyskretnym tłumikiem (dzisiejsza młodzież nie lubi się rozczulać), któryby możnaby ująć w te proste słowa: **„rozprawmy się ze sobą, aby móc się rozprawić ze światem. Zróbmy w sobie ład, aby móc ład zrobić w świecie".** Nie łudźmy się: **pod tym „objektywnym" opanowanym spokojem płoną ognie, tem pełniejsze dynamizmu, że nie wybuchają.**

Czy w Polsce jest widoczny ten „duch czasu" i w jakim stopniu? Obserwacja — nawet niezbyt gruntowna — nasuwa dwa spostrzeżenia: istnieje poczucie choroby, istnieje potrzeba zaradzenia chorobie, istnieją próby zaradzenia chorobie— a jednak rezultaty zdobywania z wielkim wysiłkiem są dziwnie nikłe. Dlaczego? Czyżby istniała niewspółmierność pomiędzy złem i środkami leczniczymi?

Istnieje ład **zewnętrzny;** istnieje ład **wewnętrzny.** Pierwszy z drugiego się wywodzi — nie naodwrót, Genjalnem odkryciem różnych kierunków młodych na zachodzie było uświadomienie sobie hierarchji walorów, uznanie odpowiedzialności jednostki za siebie — i za świat (nie naodwrót!)—dostrzeżenie przyczyn kryzysu zewnętrznego w **kryzysie osobowości. U nas reformatorstwo zewnętrzne pochłania** tyle **sił i czasu, że już nie starczy ani czasu,** ani sił na zejście do korzenia zagadnień nasuwanych przez życie. Życie zewnętrzne pochłania niemal zupełnie życie wewnętrzne — co więcej— wychodzi na przeciwne życiu wewnętrznemu. W poczuciu polskiej młodzieży jedno może się rozwijać tylko kosztem drugiego — **pomiędzy religją i życiem istnieje bezwzględny i niesprowadzalny dualizm i dlatego pomiędzy religją i życiem trzeba wybierać.** Jakżeż się dziwić, jeśli się zna psychikę młodych, nastawioną na to, co najbliższe, bezpośrednie, namacalne, że szala wyboru przechyla się niemal zawsze w stronę życia (i użycia) — że religja uznana jako wartość autonomiczna i jakby niezależna od życia jest przedmiotem wrogiej nieufności? Czem legitymuje się ten dualizm, skąd ta antynomja? Czy wypływa z życia — czy też, może, jest wypadkową **mechanizacji** życia? Czy może być stosunek akcji i reakcji tam, gdzie istnieje całkowite rozczepienie, całkowita rozbieżność celów i wartości? Jak wygląda w tem oświetleniu postulat ładu? I czy **w tym dualizmie pomiędzy religją i życiem, pomiędzy odpowiedzialnością wewnętrzną i zewnętrzną, nie należy doszukiwać się przyczyny nieprodukcyjnego aktywizmu, który pochłania tyle sił, energji, zapału i czasu naszego młodego pokolenia? Wreszcie: czy to sztuczne rozczepienie człowieka nie jest u samych źródeł kryzysu osobowości, tak jak jedynem lekarstwem na ten kryzys może być tylko scalenie człowieka?**

Oto pytania, które muszą być omówione oddzielnie.

POLEMIKA

Serce, forsa i kultura

W ubiegłym numerze „Paxu" p. AGA w artykule p. t. „Trzeba przestawić zwrotnicę" dał wyraz swemu przekonaniu, że istota konfliktu polsko-litewskiego ma tkwić w dziedzinie uczuciowej, w emocjonalnem ustosunkowaniu się Litwinów do sprawy Wilna.

Mojem zdaniem zagadnienie to nie jest tak proste. Nie żyjemy w owej epoce, w której wojny toczyły się o piękną Helenę, i dziś każdy spór ma podkład znacznie bardziej realny. W danym wypadku porozumienie z Polską wcale nie byłoby korzystne dla kultury i gospodarki narodu litewskiego. Łatwo bowiem mogłoby ono doprowadzić do ponownego zalewu terytorjum obecnej etnograficznej (w przybliżeniu) Litwy przez element kulturalny polski i przez polski towar, który się tam znajduje nawet i dzisiaj, pomimo wszelkich przeszkód. W wypadku otwarcia granic niebezpieczeństwo polskie stałoby się dla Litwy o wiele groźniejsze.

Nie wydaje mi się, żeby obawa tego niebezpieczeństwa mogła ulec stłumieniu przez świadczenie władzom litewskim grzeczności à la Łuksza.

Jerzy Ciechocki.

ANTONI GOŁUBIEW

10)

Mędrcy na arenie

Pan Kłapouch wstał, milcząc strzepnął rękawiczką poły swojego fraka, poczem, skłoniwszy uprzejmie głową panu w mundurze, skierował się ku drzwiom. Po chwili był na ulicy. Gdy zamykał drzwi, usłyszał za sobą mruknięcie:

— Oryginał.

Szedł zwolna, ręce załozywszy pod frak, filozoficznie spoglądając w niebo. Na wschodzie horyzont zaczynał już różowieć. Słaby wiaterek szemrał cicho w liściach drzew. Ulica spała. Długi szereg latarń lśnił niepewnym blaskiem.

Pod jedną z nich ujrzał pan Kłapouch półsiedzącą postać z nogami rozrzuconemi na chodniku w kształt nożyc, z głową zwieszoną na piersi. Zamyślony mędrzec potknął się o kolano jednej z owych nóg, stanął i począł patrzyć. Siedzący jęknął:

— Przyjacielu, zbliż się.

Pan Rłapouch nie drgnął (stał bardzo blisko), nieznajomy zaś mówił dalej umęczonym głosem:

— Pomóż mi, przyjacielu, poratuj. Masz oto przed sobą najnieszczęśliwszego człowieka na świecie, człowieka w stanie zupełnego upadku i zbydlęcenia. Poratuj, podnieś...

To mówiąc, nieszczęśliwy objął pana Kłapoucha wpół i usiłował powstać. Udało się mu to dopiero po dłuższych wysiłkach. Trzymał się mędrca dalej, nie mogąc z racji jakiejś choroby w nogach iść o własnych siłach. Zatoczył stę wnet pod ścianę, zaczepił o schodki małego parterowego domku i tu upadł, pociągając za sobą swego opiekuna. Usadowił się nieco wygodniej, objął pana Kłapoucha za szyję i, zwiesiwszy głowę na jego pierś, zaczął gorzko płakać.

— Jestem świnia, przyjacielu, zupełna świnia. Patrz jak nisko upadłem, już nic nie pozostało z mojej ludzkości. Ale ty mię żałujesz, przyjacielu, ty mi współczujesz. Czem jestem w porównaniu z tobą, bydlęciem, niczem. Szkoda mej duszy...

I biedak zasnął uwieszony na szyi pana Kłapoucha. Mędrzec usiłował się uwolnić, lecz nie mógł. Śpiący miał straszną czkawkę, chwilami zaczynał podśpiewywać. Potem cichł, pan Kłapouch podtrzymywał go troskliwie, dowodząc tem najlepiej swej wielkoduszności. I tak siedzieli w cichą srebrną noc.

Pan Kłapouch spoglądał wdal ulicy i dumał jak zawsze. W pewnej chwili pupil jego poruszył się i mocniej go ścisnął za szyję.

— Kocham ciebie — wyznał — jesteś szlachetny. Nie taki jak inni. Ludzie to wieprze i świnie. Wszyscy jesteśmy tacy sami. Żyjemy poto, żeby się upijać. Nikt z nas niczego innego nie pragnie, nieprawdaż, przyjacielu? Powiedz, sam powiedz, o cóż innego chodzi? Czy istnieje człowiek, któryby nie marzył, jakby wychlać najwięcej. Przyjacielu, przyjacielu...! — jakaż nędzna jest ludzkość, jak strasznie nędzna. A ja do niej należę.

I nieszczęśnik zalał się rzewnemi łzami. Moczył panu Kłapouchowi kamizelkę i lśniący gors. Trzymał go ciągle mocno za szyję.

— Mam narzeczoną—mówił wśród łkań serdecznych—ach jakaż to pusta lala. Zupełne zero. Zupełne. Myśli tylko, jakby zawrócić w głowie chłopcom. A przecież winna żyć tylko dla mnie, mnie tylko winna się poświęcić, mnie winna dać szczęście. Widzisz więc, przyjacielu, jak nieszczęśliwy jestem, jak upośledzony.

— A gdyby inna była, poszlibyśmy razem ku pięknu, ku ideałom—zaczął marzyć, gdy minął nowy atak czkawki—wynajęlibyśmy mieszkanko, jak dwa ptaszki, jak dwa gołąbki. Umeblowalibyśmy się pięknie: salon z machoniowemi meblami, fortepjan, dywany perskie, śliczny salon; stołowy: dąb, stół ogromny na dwadzieścia osób, żebyśmy mogli podejmować odpowiednio gości; a dalej, przyjacielu, sypialnia z jesionu, najpiękniejsza sypialnia w świecie o różowych obiciach, zaciszna i przytulna. Ja miałbym prócz tego gabinet, biuro szerokie i ogromne, przed biurkiem fotel, naokoło półki z książkami, jak to uczenie, jak dostojnie.

Znowu łzy wypłynęły z oczu i dalej snuły się marzenia:

— Jak to byłoby pięknie, wyobraź sobie, przyjacielu: siedzę sobie przy biurku na fotelu z fajką w ręku, obok żona w pyjamie, pies u nóg moich, kominek się pali, atmosfera pełna czegoś takiego, czegoś... no, rozumiesz przyjacielu. Ta pełnia głębokiej kultury zachodniej, tej kultury Dantych, Szekspirów, Goetych, Boyów... Jak ja kocham te kulturalne wartości, jak bardzo jestem do nich przywiązany, przyjacielu...

— Wypielęgnowałem te marzenia w samotnych dumaniach, w prawdziwie kulturalnej lekturze, w rozmowach z przyjaciółmi, z rodziną, ze wszystkimi ludźmi z mojej sfery. Nie jestem dziś zbyt bogaty, ale zdobędę się na to wszystko, powinno się przecie stawiać sobie ideał wysoki, jak najwyższy, tylko mali i podli ludzie zadawalają się byle czem. To też myślę o pięknem aucie, jadę sobie pryncypjalną ulicą, znajomi się kłaniają, niejeden puchnie z zazdrości, a ja nic, tylko wołam do szofera: „Franciszku zatrzymajcie maszynę i kupcie mi najświeższe dzienniki". Powiedz sam, przyjacielu, czy potrzebowałbyś jeszcze czego do szczęścia, czy nie osiągnąłbyś ideału? I uznanie zyskałbym u ludzi, i ojczyzna byłaby dumna z posiadania takiego syna, i przeżyłbym życie pięknie i poczciwie, i duszę miałbym sprawiedliwą, i sumienie jak kryształ.

Cisza była, tylko wiatr szemrał w koronach drzew. Noc miała się ku końcowi. Pan Kłapouch trzymał wciąż biedaka w ramionach i słuchał jego smutnej historji:

— Ale mam narzeczoną—skamlał dalej nieszczęśnik—to zupełnie jest pusta istota. Nie bierze mię zupełnie poważnie, powiada, że jestem opasłym mieszczuchem, że ona ma inne aspiracje, prawdziwe ideały. Marzy o tem, żeby zostać aktorką filmową i zarabiać masę pieniędzy, uczy się tańców scenicznych i wogóle ma duszę artystyczną. Chce dużo podróżować, rzucać pieniędzmi jak błotem, grać w ruletkę i mieć własny yacht żaglowy. Byłyby to może i dobre marzenia, gdyby nie okoliczność, że są zupełnie puste, całkiem pozbawione treści. Nic w niej niema idealizmu, nic poświęcenia się dla kogoś. Bo oto mówi, że jeśli zrobi pieniądze jako gwiazda filmowa, to jestem jej całkiem niepotrzebny. Pomyśleć sobie, że nazywa mię swoją polisą ubezpieczeniową na wypadek nieudanej.

— Cóż mam z nią robić ja, człowiek wysokich ideałów. Zacząłem pić z kolegami, żeby zalać robaka, bo i pieniądze niebardzo się zarabiają i ona... I widzi pan na co zszedłem, jak świnia tarzam się po ulicach i śpiewam przechodniom swoją pieśń syrenią i łabędzią. Czy widział pan kiedy nieszczęśliwszego ode mnie człowieka...?

I biedak rozwarł ramiona gestem rozpaczy. Puściwszy się zaś szyi pana Kłapoucha, stracił równowagę i potoczył się na środek chodnika. Tam ułożył się nawznak z rękoma i nogami bezwładnie porozrzucanemi i wnet zaczął chrapać. Pan Kłapouch patrzył nań jeszcze przez chwilę; potem podniósł się, przekroczył ostrożnie śpiącego i ruszył dalej ulicą.

Redaktor naczelny: ANTONI GOŁUBIEW. Redaktor odpowiedzialny: WITOLD RUDZIŃSKI.
Wydawca: WACŁAW TARASIEWICZ. Administrator: ALFONS KACZYŃSKI.

WYDALIŚMY:

dwa pierwsze tomiki bibjoteczki „PAXu:

X. Kazimierz Kucharski T. J.—*Zmysły i ich rola w religijności katolickiej*. . . . . Cena 40 gr.

Halina Wężyk - Widawska — *Kultura i religja*. Z portretem J. Maritaina. . . . . Cena 30 gr.

Można zamawiać w Administracji. Wilno, Zamkowa 14—1. Należność prosimy uiszczać przekazem P. K. O. 144.229 lub przekazem rozrachunkowym.

Za przesyłkę należy wpłacać po 5 gr. od tomiku. Przy zamówieniu 10 tomików naraz koszta przesyłki odpadają.

Książki nadesłane do Redakcji.

Wydawnictwa XX. Jezuitów — (Kraków 1935):

Raoul Plus—*W obliczu małżeństwa.*

Lenz-Mokrzycki—Wycieczka w przestworza.

René Bazin — Papież Pius X.

Muzyka Polska VII 1935.

Chowanna — komplet styczeń — czerwiec 1935.

Verbum—kwartalnik poświęcony sprawom kultury współczesnej 1935 III.

X. dr. Andrzej Krzesiński — *Kultura nowoczesna i jej tragizm.* Bibljoteka kultury chrześcijańskiej. Kraków 1934.

Marchołt — kwartalnik poświęcony sprawom literatury i kultury, październik 1935.

PAX — DWUTYGODNIK

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie	bez przesyłki 3,90 zł.;	z przesyłką 4,80 zł.;	zagranicą 7,40 zł.;	w Ameryce 2,80 dol.
półrocznie	„ „ 2,10 „	„ „ 2,50 „	„ 3,90 „	„ „ 1,50 „
kwartalnie	„ „ 1,20 „	„ „ 1,40 „	„ 2,40 „	„ „ 0,90 „

UWAGA: Prenumeratę najwygodniej jest opłacać przy pomocy t. zw. przekazów rozrachunkowych (błękitnych).

OGŁOSZENIA:

Okładka: cała strona — 250 zł.; 1/2 strony — 140 zł.; 1/4 strony — 75 zł.; 1/8 strony — 40 zł.
Wewnątrz: cała strona — 150 zł.; 1/2 strony — 75 zł.; 1/4 strony — 38 zł.; 1/8 strony — 20 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, Zamkowa 14—1. Konto P.K.O. 144.229

Redakcja czynna we środy i piątki od 12 — 1.

Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godziny 11 do 1.

T-wo Wydawnicze „POGOŃ“, Drukarnia „PAX“, ul. Ignacego 5, tel. 8-93.